



Z licznego zastępu konkurentów, ubiegać się mających o teatr krakowski, a wymienionych już przez nas dawniej, wyłonili się obecnie trzej kandydaci, którzy złożyli na ręce prezydenta miasta. Dr. Juliusza Leo, formalne oświadczenia, że pragną ująć w dłonie ster nawy teatralnej, bujającej się w tej chwili na wzburzonych fluktach. Oto ich nazwiska: Aleksander Bandrowski, Dr. Julian Bandrowski i Stanisław Wyspiański. W niemałym będzie kłopotcie rada miejska, jeśli z tego „terna” zechce wybrać przyszłego dyrektora. Pierwszy z kandydatów, słynny i słusznie ceniony tenor, gotów jest — jak twierdzą powszechnie — wyprowadzić scenę naszą na karkołomną drogę eksperymentów operowych, które zepchną dramat i komedję na plan ostatni, same zaś przez się nie wzniosą się nawet na przeciętnie znośną wyżynę. Kraków bowiem jest za mało ludnym i niedość bogatym miastem, aby mógł posiadać dobrą operę. Lwów o wiele ludniejszy i bogatszy, rezydencya najwyższych przedstawicielstw, wszystkich władz autonomicznych i rządowych, punkt centralny krajowego ruchu kapitalistycznego, nie jest w stanie utrzymać przyzwoitej opery, a bardzo średnia. Na jaką się zdobywa, podkopyje byt teatru ciągłym i znacznym deficytem. Fundowanie zatem w Krakowie stałej trupy operowej z orkiestrą i chórami, byłoby szaleństwem, bezwzględnie sprzecznym z interesami i zasobami starego grodu, mogącego za ledwie wyżywić przyjeżdżną operetkę i to tylko co lat parę w krótkim, letnim sezonie. Drugim kandydatem na dyrektora teatru jest człowiek najlepszych chęci, który atoli łamiąc się od dość dawna z przeróżnymi przeciwnościami życia, wyczerpał posiadane niegdyś środki materialne, a bez nich o przedsiębiorstwie teatralnym w dzisiejszych czasach marzyć nie można. Był lekarzem-dentystą, współdyrektorem sceny lwowskiej w imprezie L. Hellera, jest teraz nareszcie dziennikarzem w Warszawie, a jak wszystkim wiadomo, nikt jeszcze na polskim dziennikarskim chlebie nie utył, a tem bardziej nikt się nie wzbogacił. Za trzecim malarzem i poetą, głosowałiby niezawodnie artyści i spora gromadka literatów, gdyby dyrekcję objąć można było na rok jeden, zwłaszcza z repertuarem, złożonym wyłącznie z jego własnych utworów. Oprawiłby je on w sliczną szatę dekoracyjną i kostyumową, wyrządzając tem oczom widzów rozkosz prawdziwą. Lecz niestety, ponieważ kontrakt teatralny podpisać trzeba na okres sześcioletni, a repertuar musi nosić na sobie charakter przeważnie sceniczny (w europejskim znaczeniu tego wyrazu), nie ulega zatem najmniejszej wątpliwości, że długa, ciężka, wyczerpująca nerwy praca, zniszczyłaby niezawodnie zdrowie dyrektora, nie przynosząc sztuce i społeczeństwu realnych korzyści. Tak więc widzimy, że z trzech kandydatów, którzy stanęli do konkursu, żaden nie posiada warunków, jakich od kierownika teatru miejskiego w Krakowie wymagać wypada. Co pocznie z tak niemiłym fantem rada gminy? Odpowiedzieć trudno. Jak zawsze u nas i tym razem prawdopodobnie odegra ważną rolę w przykrych sytuacji nie rozważa i właściwe zważenie wyboru na szalach bezstronnie ocenianych interesów miasta i sztuki, lecz protekcya, lub nie spodzianka. Nam zaś nie pozostaje nic więcej, jak powtórnie wyrazić głębokie przekonanie, że byłoby koniecznym, aby sfery decydujące, zdjawszy pychę z serca, zwróciły się do Tadeusza Pawlikowskiego, który jeden tylko — jedyny — wskazany jest przez opinię znawców i publiczności na stanowisko dyrektora teatru w Krakowie. Nie znamy innego rozumnego wyjścia z zamętu, jaki w sprawie wytworzył: złośliwe fata i obecne, nieudolne kierownictwo teatralne.

Jak pierwszorzędną sceną, cieszącą się rozgłosną sławą, ma doniosłe znaczenie nawet dla olbrzymich i ludnych stolic, posiadających tysiączne atrakcje (jakich Kraków nie posiada i posiadać nie może), świadczy wymownie polemika, prowadzona obecnie w dziennikach niemieckich o wyższość teatrów berlińskich nad wiedeńskimi. Polemikę tę wywołała, ma się rozumieć, rywalizacja konkurencyjna. Piękny Wiedeń, dzięki w znacznej części zajęciu, jakie budzą jego sceny, wydziera brzydkiemu Berlinowi wielu cudzoziemców, zwłaszcza Amerykanów i Anglików, chętniej osiedlających się na

czas pewien nad Dunajem, niż nad Sprewą. Człowiek, obdarzony smakiem artystycznym i który zdobył już pewien rodzaj doświadczenia w rzeczach scenicznych, zgodzić się musi, że Wiedeń w wielu razach, tak pod względem wystawy, *mise en scène*, a szczególnie gry aktorskiej stoi wyżej od Berlina. Znamy dobrze teatry obu stolic, a w kwestyach sztuki brzydzimy się wszelką parcyalnością, to zatem, co wypowiemy poniżej wypływa z bardzo poważnie dokonanych studyów i starannie zestawionych porównań. Przyznajemy, że zespół wśród artystów dramatycznych berlińskich, dzięki inteligentnej reżyserii, przedewszystkiem w niemieckich utworach nowoczesnych, jest doskonały. „Tkaczów” Hauptmanna nie wystawiono nigdzie tak wzorowo, jak w Berlinie. Nie powiemy jednak tego samego o dziełach Maeterlincka, Tolstoja, ani Gorkiego, chociaż obrazy sceniczne ostatniego wyszły, w wykonaniu berlińskim lepiej niż na innych scenach niemieckich, nie wyłączając Wiednia i Monachium. Jednakże, pomimo cennych zalet, umiejętnie i kunsztownie ujętego zespołu, z jakim niemal zawsze spotykamy się w Berlinie, każde dobre widowisko teatralne wiedeńskie, wypróbowane i inscenowane należycie, przewyższa niezmiernie często także berlińskie, teatry bowiem pruskie posiadają bardzo mało utalentowanych indywidualności aktorskich. Jeden tylko teatr dworski w Wiedniu, ma ich znacznie więcej niż wszystkie razem wzięte sceny w Berlinie. Dzieła klasyczne starego repertuaru, Szekspira, Goethego, Kalderona, Szyllera, a nawet niekiedy i Moliera, tylko w *Burgu* liczyć mogą na interpretację godną gieniuszu, równie w „ensemble”, jak w głównych i drugoplanowych tragicznych i komicznych postaciach. Nie dość tego, nawet niektóre modernistyczne utwory niemieckie (o ile ról nie rozdała protekcya) grane są i wystawiane tam przedziwnie. „Poniedziałek zapustny” i „Woznica Henszel” służyć mogą za przykład w tym względzie. Nietylko nadano ich wystawie i wykonaniu jednolitą właściwą im styl, nie tylko szarmonizowano w kunsztowną całość ogólny zarys obu utworów, lecz odtworzono je z nakładem twórczości, natchnionej talentem aktorów, nie zaś ściśle i inteligentnie, lecz z natury rzeczy poniekąd suchymi informacjami reżysera, jak w Berlinie. Bardzo często widzieliśmy w teatrach berlińskich szczęśliwie warunkami zewnętrznymi dobrane do roli aktora, który interesował, lub nawet zachwycał w jednej sztuce, gdy w następnej i wielu innych wychodził zupełnie błąd, nie wywierając na publiczności wcale wrażenia. Otóż takie właśnie objawy uczą, że teatr dobrze prowadzony, dbając o zespół i *mise en scène*, musi jednak ubiegać się także o utalentowanych artystów, którzy mogą samoistnie odczuć i techną, tak w swoje kreacje, jak w całość przedstawienia, ducha, jakim autor ożywił swoje dzieło. Doskonały „ensemble” i równocześnie zdolni artyści bywają tylko w takich teatrach, którym przewodniczy utalentowany i miłujący swój zawód dyrektor, niekępowany żadnymi innymi zajęciami i celami, tudzież nie stawiający wyżej zysków materialnych od sukcesów moralnych: słowem, ktoś taki, jak Tadeusz Pawlikowski, oddający cały swój czas i całą duszę na usługi teatralnym pracom i zadaniom.

Sprawa wyboru dyrektora teatru krakowskiego, stanowiąca sama przez się (jak to już powiedzieliśmy wyżej) twardy orzech do zgryzienia, przypadła nadto w porze wyborowi niesprzyjającym, bo w chwili, gdy uwagę ogółu pochłaniają wypadki polityczne niezwykle doniosłości, pozornie oddalone, a przecież bardzo blisko nas obchodzące. Komplikacją podrzędną, lecz bądź co bądź odwracającą baczną uwagę szerszych sfer od sprawy, jest także poniekąd karnawał, wykorzystając pragnący tak zwane „ostatki” przez urządzenie nie bardzo wesołych, lecz tłumnych pikników i bali na cele dobroczynne. Na szczęście peryod sztucznych rozrywek (bo w tym roku były one przeważnie sztuczne) zbliża się do końca, a chociaż popiół popielcowej środy głów naszych jeszcze nie posypał, zacieramy się do pracy, wszędzie dostrzegając się znamię ochłodzenia temperatury zapustnej. Czuć post w powietrzu — ów post, który zapowiada działalność umysłową. Do odczytów na temat reform administracyjnych przygotowuje się grono profesorów uniwersytetu, omawiać mających pożądane zmiany w ustroju gminy, powiatu, sądownictwa, skarbowości, szkolnictwa etc. O gminie mówić ma profesor Dr. Wł. L. Jaworski, o sądownictwie prof. Fierich, o szkolnictwie prof. Dr. Bobrzyński i tak dalej. Nadto naukowe stowarzyszenie prawników naszych poleciło specjalnie wybranej komisji studya nad przygotowaniem reformy kodeksu cywil-

nego, postanawiając również przetworzyć galicyjskie słownictwo prawnicze, dotąd pełne dziwolągów językowych. Sądownictwo polskie w Królestwie kongresowem niedawno jeszcze, bo przed czterdziestu laty, posiadało terminologię doskonałą, którą z małemi odmianami, wamaganiami przez ducha czasu i różnicę stosunków, przyswoiły w Galicyi należało, jakkolwiek bowiem naginała się do wszelkich nowoczesnych pojęć prawnych, czerpaną była w znacznej części ze skarbcza starej mowy polskiej. Rozumną inicjatywę prawników podjąłby powinni w zakresie swojej działalności dziennikarze nasi, gdyż gwarą polityczną, jaką pisane są krakowskie i lwowskie wydawnictwa codzienne, jest doprawdy skandaliczna, przepełniona germanizmami i rusycyzmami, importowanymi z Poznania i Warszawy, a oprawionymi w zdania i zwroty zupełnie nie polskie, dosłownie tłumaczone z podobnych zdań i zwrotów dzienników wiedeńskich. Czas już temu raz położyć koniec i nie kłaść pięknego języka naleciałościami szkaradnymi, zmieniającymi jego wytworny charakter. Jesteśmy narodem, żyjącym w pośród narodów żyjących. Pewne pojęcia nowe i nowe ich nazwy, ze względów cywilizacyjnych przyjmować musimy od obcych. Cudzoziemski wyraz — zwłaszcza, gdy go spolszczymy rodzimem brzmieniem — użyty z konieczności myślowej, lub niekiedy ze względu na kolorystykę stylistyczną, nie zachwaszcza mowy naszej, gdy kopiowanie niewolnicze składni obcej przeobraża go bezwzględnie, pozbawiając cech mu właściwych i przyrodzonych. Byłoby więc ze wszech miar rzeczą pożądaną, aby instytucya naukowa, tak wysoko w opinii ogółu stojąca, jak krakowska Akademia Umiejętności, otoczona czcigłówną i miłością powszechną, zajęła się nieodzowną reformą. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkie dzienniki i czasopisma polskie bez wyjątku, chętnie poddadzą się jej postanowieniom, bez cienia oporu, potrzeba bowiem radykalnej zmiany odczuwaną jest oddawna, a przeszkodą jedyną do urzeczywistnienia jej w praktyce gazetarskiej, jest tylko niedbalstwo i lenistwo, rozwielenie u nas bardziej, niż gdziekolwiek bądź na świecie. Pokonać je jednak nareszcie potrzeba, chodzi tu bowiem o istnienie i rozwijanie się ducha narodowego, czerpiącego całą swą siłę uciemionego języka, wygnanego ze szkoły, sądu i urzędu przez pruskie i moskiewskie gnębicieli ojczyzny naszej, splugawionego zbyt często przez nas samych lekkomyślnie w codziennym, drukowanym użyciu.

Ponieważ w paru gawędach poprzednich mówiliśmy o rewolucji, która równocześnie z wielkimi wypadkami w Warszawie wybuchała w „Gońcu porannym i wieczornym”, więc obowiązek kronikarski nakazuje zawiadomić Czytelników naszych o jej pomyślnem zakończeniu. Najpoczytniejszy w ostatnich czasach brukowy dzienniczek warszawski, nabyty został przez ordynata Maurycego hr. Zamojskiego, oraz pp. E. Niewiadomskiego i Lutosławskiego za 100.000 rubli. Naczelne kierownictwo objął p. Koskowski, berliński korespondent „Kuryera Warszawskiego”, dawni zaś współpracownicy, przyjęci przez nowych wydawców, siedzą już z piórem w ręku przy swoich stolikach redakcyjnych, które w słusznym oburzeniu opuścili przed trzema tygodniami.

Verax.

## Kącik humorystyczny.

### Też racya.

— I pan się nie wstydzisz iść za mną! Pan, który jesteś przyjacielem mego męża?

— Właśnie chce się przekonać, czy pani go zdradzasz.

### Zrozumiał.

Młody lekarz:

— Tak! Praktyka moja podwoiła się.

Przyjaciół:

— Więc nareszcie jest drugi pacjent.

### Przy chorym.

Lekarz (widząc, że trzy damy obsiadły łóżko chorego).

— Ależ moje panie, chory musi mieć spokój!

Pani domu:

— Przecież powiedziałeś konsyliarzowi, że należy u niego ożywić akcję serca!

### Na poczekaniu.

— Ależ Marysiu! Więc ty nosisz taką samą suknię i kapelusz co i ja? Czemże ma różnić się pani od kucharki?

— Gotowaniem!